

Jakub Mames



Opowieści,  
wspomnienia  
i sny

NORBERTINUM

Opowieści,  
wspomnienia  
i sny

Jakub Mames

Opowieści,  
wspomnienia  
i sny



Norbertinum  
Lublin 2012

Projekt okładki  
Roman Habarta

Opracowanie redakcyjne i komputerowe  
Barbara i Roman Habarta

ISBN 978-83-7222-459-0

Sześćset pięćdziesiąty dziewiąty tytuł Norbertinum

NORBERTINUM  
Wydawnictwo–Drukarnia–Księgarnia Sp. z o.o.  
ul. Długa 5, 20-346 Lublin  
tel. 81 744 11 58, fax 81 744 11 48  
www.norbertinum.pl norbertinum@norbertinum.pl

## Od wydawcy

Jakub Mames urodził się 12 maja 1925 roku w Krakowie, w żydowskiej rodzinie inteligenckiej. W czasie wojny skutecznie ukrywał się przed hitlerowskimi okupantami, przede wszystkim dzięki zdobytej przez ojca fałszywej kennkarcie (świetnie podrobionej – był na niej nawet autentyczny odcisk palca!). Wtedy bowiem, w Krakowie, na początku wojny, rodzina rozdzieliła się – każdy musiał samodzielnie zadbać o swój los. Wojny nie przeżył ojciec; matka i siostra ocalały, także dzięki fałszywym dokumentom.

Podczas okupacji Autor, pod przybranym nazwiskiem Karol Piwowarczyk, pracował najpierw w Tarnobrzegu, a następnie – wcielony do Kolumny Roboczej Niemieckich Kolei na Wschodzie (Deutsche Ostbahn) – jako dekarz w Kazatyniu na Ukrainie, w Mińsku na Białorusi, w Bydgoszczy oraz w Wittichenau w Saksonii.

W kwietniu 1945 roku uciekł z niemieckiego transportu i przedostał się do południowych Czech, które wkrótce zostały wyzwolone przez amerykańską 3 Armię gen. Pattona (*Prawdziwy koniec wojny*). Wrócił, przez Morawy, do Polski (*Miiiny!*). W tym samym roku powrócił do swojego nazwiska i złożył oficjalny wniosek o wystąpienie ze społeczności religijnej żydowskiej.

W roku 1951 ukończył studia z dyplomem magistra inżyniera nauk technicznych w zakresie nauk budowlanych; w 1956 uzyskał tytuł doktora w Katedrze Budownictwa Żelbetowego Politechniki Śląskiej w Gliwicach. W 1976 roku rozpoczął pracę na Politechnice Lubelskiej (ówczesnej Wyższej Szkole Inżynierskiej). Od 1 IX 1981 do 10 I 1982 pełnił funkcję rektora tej uczelni.

Swoje wojenne burzliwe losy Jakub Mames opisuje, w formie bądź to literackiej, bądź też bardziej pamiętnikarskiej, w kilkunastu zawartych w tym zbiorku opowieściach (m.in. *Kilka kromek chleba*, *Pieśń o Nibelungach*, *Prawdziwy koniec wojny*).

Późniejsze, powojenne losy Autora tylko fragmentarycznie obrazują teksty: *Szczęśliwe spotkanie*, *Ratunku!*, *Splątane ścieżki*, *Moje sny przedziwne*. Ostatnia opowieść: *Królowa Makeda i Arka Przymierza*, jest ciekawą interpretacją losów repliki Arki Przymierza.

Ten niezbyt obszerny, ale „naładowany” treścią tomik świadczy o wielkiej wrażliwości człowieka, który przeżył Holokaust, starając się zawsze pogodzić swój tragiczny los z nie mniej tragicznym losem innych ludzi – bez precyzowania: wróg czy przyjaciel... „Droga krzyżowa”, jaką w czasie okrutnej wojny przeszli ci, którzy przeżyli, była, według Autora, jednakowo trudna dla wszystkich.



*W czasie mojego bardzo długiego życia spotkałem wiele nieprzeciętnych postaci i przeżyłem wiele niezwykłych zdarzeń, szczególnie w dramatycznych latach ostatniej wojny 1939-1945. Spisałem je, aby ocalić od zapomnienia.*

Jakub Mames

## Kilka kromek chleba

Ostatnia zima wojenna była najgorsza. Pracowaliśmy we trzech, jako dekarze, dla Deutsche Ostbahn [Kolej Niemiecka na Wschodzie]. Po przerwaniu frontu pod Mińskiem Białoruskim przerzucono nas przez Wilno i Prusy Wschodnie do Brombergu [Bydgoszczy]. Tu atmosfera była fatalna. Panowała zapiekła nienawiść do Polaków, używanie języka polskiego groziło ciężkim pobiciem. Do tego głodowe racje żywnościowe i najgorsze: mrozy i nieogrzewane baraki; na noc przykrywaliśmy się deskami... Myślałem, że tej zimy już nie przeżyję.

Na szczęście w drugiej połowie stycznia 1945 roku przerzucono nas do Wittichenau, małej miejsciny w Saksonii, położonej między Budziszynem a Dreznem. Były tu duże magazyny materiałowe i warsztaty naprawcze niemieckich kolei. Warunki bytowe znacznie się poprawiły. Było cieplej, bo bardziej na południe, baraki były ogrzewane, dawano lepsze żarcie, lżejszą pracę, a w dodatku zwolniono nas z obowiązku noszenia opaski z literą „P”. Szef, Herr Adamski – bardzo przyzwoity berlińczyk, któremu wiele zawdzięczam – wyznaczył mnie



na kierownika magazynu galanterii żelaznej. Stałem się „królem” gwoździ, śrub, wkrętów, klamek, zamków, zawiasów i wszystkiego, co było nieduże i z żelaza.

W tej fazie wojny nie było mowy o jakiegokolwiek ewidencji materiałów, zacząłem więc zaopatrywać okoliczne wsie niemieckie w te „żelazne skarby”. Nie osobiście, bo moja płynna niemczyzna wzbudzałaby podejrzenia; pośrednikiem był Wania, rosły „tankista” z Ukrainy, który znał tylko kilka słów po niemiecku, ale za to jego szynel miał liczne przepastne kieszenie. Wania przynosił zamówienia, ja je realizowałem, a znów Wania zamieniał je na bochenki chleba... Tak oto głód przestał zaglądać nam w oczy.

Po kilku dniach, pod koniec stycznia 1945 roku, do naszego miasteczka przypędzono około pięciuset więźniów z ewakuowanego wówczas Auschwitz. Był to straszliwy „marsz śmierci”. Więźniowie byli tak wygłodzeni, że w swych pasiakach wyglądali jak kościotrupy. Pilnowało ich kilkudziesięciu esesmanów z karabinami, pałkami i psami. Codziennie, stojąc pod ścianą mojego magazynu, widziałem kolumnę około 200 więźniów idących na jakieś roboty do pobliskiego lasu. Codziennie też widziałem ich, kiedy wracali, niosąc na końcu kolumny czterech lub pięciu martwych towarzyszy. Ginęli z przemęczenia, głodu, pobicia. Martwych układano na ziemi, z rozpostartymi rękami, bo zastygłych w tej pozycji łatwiej było nieść. Niesieni na końcu kolumny twarzą do nieba wyglądali jak zdjęci z krzyża.

Tu muszę cofnąć się w swoich wspomnieniach. Podczas wojny widziałem kiedyś z okna wagonu, jak prowadzono na śmierć młodą, piękną dziewczynę – Żydówkę. Wytropił ją wcześniej niemiecki oficer, który w eleganckim mundurze wyglądał jak młody „bóg wojny”. Był grzeczny:

- Macht doch Platz, Leute, mit der Güte geht es bei euch nicht [Zróbcie miejsce, ludzie, po dobroci z wami nie można].

Nie mogłem tej dziewczyny uratować, bo sam miałem fałszywe „aryjskie papiery”, ale przecież mogłem zaprotestować przeciwko nieludzkiemu okrucieństwu i razem z nią zginąć. Jednakże nic nie zrobiłem i wciąż uważam, że wtedy zachowałem się tchórzliwie... Wówczas to poprzysiągłem sobie, że następnym razem nie stchórzę i zaprotestuję przeciwko barbarzyństwu – bez względu na konsekwencje.

Tak oto Opatrzność postawiła mnie przed kolejnym egzaminem. Początkowo niewiele mogłem zrobić, bo nie było żadnego dostępu do więźniów, ale po kilku dniach roboty w lesie się skończyły i niewielką grupę więźniów skierowano do pracy na naszym placu drzewnym. Rozładowywali z wagonów towarowych deski i belki i ustawiali je w wysokie sztaple [stos drewna ułożony w prostopadłościan]. Takich sztapli było już wcześniej na naszym placu mnóstwo. Wymyśliłem, że trzeba je przykrywać papą, aby nie zamokły podczas deszczu... A tymi „od papy” byliśmy przecież my, dekarze! Z dwoma chłopakami umówiłem się, że każdy z nas będzie pracował na innym sztaplu i będziemy porozumiewali się bardzo głośno po polsku. Następnego dnia było podobnie; ułożone przeze mnie teksty-szyfry informowały, z jakich okolic każdy z nas pochodzi; ja np. z Krakowa...

Z wysokości mojego sztapla zarejestrowałem trasy poruszania się więźniów i zlokalizowałem posterunki esesmanów. Trzeciego dnia na wybranej wcześniej trasie położyłem między deskami kromkę chleba, która zniknęła, a to oznaczało, że kontakt został nawiązany.

Nazajutrz rano ukryłem się przy ścieżce prostopadłej do trasy przemarszu więźniów i czekałem. Sześciu więź-

niów dźwigało belkę, przechodząc w lewo od mojego stanowiska, a później w prawo – po następną belkę. Ja zaś czekałem. Przy którymś nawrocie jeden z nich potknął się, belka ześlizgnęła mu się z ramion i oparła jednym końcem o ziemię. Cała grupa zatrzymała się i w tym momencie jeden z nich w kilku susach dopadł mnie, chwycił moją rękę jak w uścisk żelaznych kleszczy, wyrzucił z siebie błyskawiczny „tekst” i w kilku susach wrócił do swojej grupy.

Taka „rozmowa” powtórzyła się jeszcze dwukrotnie. Dowiedziałem się z niej, że pochodzi z Krakowa, nazywa się tak a tak, że został wzięty do niewoli za udział w AK, że będzie planował ucieczkę. Prosił, żebym pod wskazanym adresem odszukał jego matkę i żebym jej powiedział, że go tu spotkałem. Obiecałem mu to. Niestety, nie mogłem już podrzucać mu kromek chleba – po prostu nie miałem chleba... Popyt na galanterię żelazną był w całej okolicy zaspokojony, dlatego dzielny Wania nie przynosił już żadnych zamówień.

Tak oto powróciła bieda.

10 lutego 1945 roku zostałem odkomenderowany do Drezna. Razem z jednym z kolejarzy niemieckich miałem konwojować wagon towarowy z zamówionymi materiałami. Pociągi kursowały wtedy wyłącznie nocą, bo w dzień amerykańskie myśliwce strzelały do wszystkiego, co się ruszało.

W zamkniętym wagonie towarowym było ciemno, mogliśmy tylko przyświecać sobie latarkami. Bez przystanków zajechaliśmy na drezdeński dworzec towarowy, gdzie mój kolega kolejarz zajął się wyładunkiem przywiezionych materiałów i złożeniem listy zamówień naszych potrzeb materiałowych. Materiały te miały być załadowane w ciągu kilku dni do naszego wagonu, a my

mieliśmy powtórnie przyjechać do Drezna, żeby odebrać zamówienie i przewieźć je do naszej bazy.

Miałem cały dzień wolny, postanowiłem więc zwiedzić miasto. Drezno było piękne i nienaruszone jeszcze wojną. Wróciliśmy – obaj konwojenci – nocnym pociągiem osobowym.

W nocy z 13 na 14 lutego zatrzęsała się ziemia, zatrzęsły się nasze baraki, omal nie spadłem z piętrowej pryczy... Wyskoczyliśmy z baraków i wszystko stało się jasne: ciężkie, dywanowe bombardowanie Drezna! Ziemia drżała i jęczała, huczały eksplozje ciężkich bomb, nad miastem rozbłysła łuna pożarów. Tej nocy nikt w naszym miasteczku nie spał. Jeszcze o świcie trwało to okropne bombardowanie. Groza była tym większa, że losy wojny były od dawna przesądzone, a sama wojna miała trwać jeszcze tylko trzy miesiące.

Po raz drugi przyjechaliśmy do Drezna nocą 16 lutego. Dworzec towarowy znajdował się na peryferiach miasta i nie został zbombardowany. Mój kolega kolejarz miał mnóstwo spraw do załatwienia, ja zaś, mając dzień wolny, znowu zwiedziłem miasto. Centrum Drezna było cmentarzyskiem. Ani żywej duszy, tylko śmiertelna cisza nad gruzami. Nie można było odróżnić, gdzie stały budynki, a gdzie były ulice...

Wracaliśmy znowu nocą. W wagonie było pełno różnych materiałów: mundurów, bielizny, koców, butów itp., wszystkie policzone i „wyspecyfikowane”. Mnie zainteresował worek butów używanych, które nie były „specyfikowane” – dorzucono je jako materiał do napraw. Stwierdziliśmy, że w tym worku można znaleźć buty mało używane, wyglądające jak nowe. Przyświecając sobie latarkami, bez trudu znaleźliśmy cztery pary takich butów: dwie dla Niemca i dwie dla mnie. Dobro-



duszny Niemiec nie połapał się, jaki był mój plan: wybrane przez nas używane buty wylądowały w worku z nowymi butami, a my zabraliśmy w zamian po dwie pary butów nowiułternickich! Najważniejsze, że specyfikacja się zgadzała... Jedną parę butów zatrzymałem dla siebie, drugą przekazałem Wani. Oczy mu się zaświeciły – za te buty przyniósł mi trzy i pół bochenka chleba!

Chleby pokroiłem na kromki, wysuszyłem i załadowałem do płóciennego worka sznurowanego u góry tasiemką. Worek dostałem od kobiet pracujących w kuchni. Wszystko miałem przygotowane, ale w żaden sposób nie mogłem przekazać chleba mojemu koledze w pasiakach, bo więźniowie już nie pracowali na naszym terenie. Wymyślano dla nich nikomu niepotrzebne roboty, a u nas pokazywali się tylko w samo południe, na apelu, ale wtedy pilnowani byli przez bezlitosnych esesmanów i specjalnie tresowane psy.

Kilka dni później, stojąc na rampie kolejowej, obserwowałem taką właśnie bezmyślną robotę: długi szereg jeńców kopał kilofami i szpadlami jakiś rów w zamrażniętej ziemi. Nagle środkowy odcinek tego „węża” załamał się; ponad stu więźniów rzuciło się na ziemię, jeden na drugiego, walcząc o coś, tworzyli jakby kopiec żywych ciał ludzkich. Struchlałem. Zaczęła się masakra. Esesmani walili w ten kopiec kijami i kolbami karabinów, szalały rozjuszone psy. Z tego kopca nikt się już nie podniósł.

Ściągnięto cztery wojskowe podwozy o dużych kołach i wysokich burtach. Podwozy były zaprzęgnięte w parę koni i powożone przez starych żołnierzy Landszturmu [pospolite ruszenie – rezerwiści]. Załadowano pomordowanych. Woźnice nasunęli czapki, nausznicę i postawili kołnierze, żeby nie słyszeć tego, co działo się za ich plecami. Bo „to” się ruszało, krzyczało, śpiewało; jakaś twarz się pokazywała, walcząc o ostatni oddech, jakaś ręka...

Przejechały przede mną te cztery podwozy, a ja, stojąc na rampie, odebrałem tę straszną defiladę!

Potem dowiedzieliśmy się, że ci nieszczęśnicy wykopalili kilka zeszlorocznych ziemniaków i rzucili się na nie z głodu. Zrozumiałem, że nadszedł dla mnie czas próby.

Przekonałem się wtedy, że wojna niszczy ludzi odważnych, dzielnych, wartościowych, a oszczędza tchórzów, kapusiów i zdrajców. Jeżeli tak, to ja nie chcę tej wojny przeżyć; więcej jeszcze – nie chcę żyć na takim świecie...

Postanowiłem działać według własnego systemu wartości, nie oglądając się na nic. Jeżeli zadaniem moim było przekazanie przyjacielowi w pasiakach woreczka zaoszczędzonego chleba, to ja to zrobię; a jeżeli przy tym zostanę zastrzelony, to tym lepiej... O swoim zamiarze poinformowałem Herr Adamskiego. Krzyknął:

– Karl! [Zgodnie z zapisem na fałszywej kennkarcie byłem Karolem.] Nie pozwalam! Nikt cię nie uratuje, ani ja, ani mój przełożony Heusler! Zginiesz tak jak oni!

Byłem przygotowany na taką reakcję i rzekłem:

– Herr Adamski, ja nie proszę o pozwolenie, ja pana tylko informuję, co zrobię. Popatrzył na mnie i nic już nie powiedział.

Problemem był jeszcze komendant. Nie w czarnym, ale w stalowoniebieskim mundurze SS. Niewysoki, z brzuszkiem, wyglądał jak dobroduszny ojciec rodziny. Tu był panem życia i śmierci. Podczas apelu więźniów zawsze stawał w tym samym miejscu i przyglądał się sytuacji. Codziennie towarzyszyli mu Adamski i Heusler. Do komendanta podszedłem z płóciennym workiem w prawej ręce. Na apelpłacu zapanowała śmiertelna cisza – nawet psy przywarowały... Poczciwy Adamski zbladł jak papier, Heusler uciekł do swego baraku. A ja starannie przygotowanym, eleganckim językiem niemieckim poprosiłem komendanta, aby pozwolił...



I tu zaskoczenie: na twarzy komendanta pojawiło się osłupienie, szczeka mu opadła, wybełkotał tylko: „ja..., ja..., bitte”. Nie czekałem, zrobiłem w tył zwrot i ruszyłem w stronę dwuszeregu „pasiaków”. Byłem pewny, że daleko nie zajdę – komendant musi ratować swój autorytet, a więc wyjmie pistolet z kabury i strzeli mi w plecy. Stało się jednak coś innego; coś, czego nie przewidziałem.

Widocznie podszedłem zbyt blisko, bo dwuszereg jeńców nagle się załamał – w kilka sekund zostałem pokryty stosem ciał! Ciemno, nic nie widzę, obce ręce rozszarpują worek z chlebem, sprawdzają, czy mam coś w kieszeniach – i po chwili wszystko wraca, dwuszereg wyrównuje się jak pod sznurek... Tylko mój przyjaciel się nie ruszał; stał wpatrzony we mnie. Nieznacznym ruchem pokazałem mu strzęp płótna w zaciśniętej prawej ręce. Nic nie mówiąc, długo patrzyliśmy sobie w oczy. Trwała śmiertelna cisza. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę komendanta. We mnie wrzało: „Ty tchórze, nie strzeliłeś mi w plecy, to spróbuj teraz, twarzą w twarz!”. Nie strzelił.

Podszedłem do niego i podziękowałem.

Kilka dni później mój przyjaciel próbował uciekać, jak to wcześniej zaplanował. Niestety, przypadkowo wypatrzył go jakiś leśniczy i wygarnął do niego śrutem z obu luf. Będąc ranny, nie miał szans. Ruszyła oblawa i psy go natychmiast wytropiły. Powiesił się na gałęzi, na pasku od spodni, a wcześniej – na wszelki wypadek – podciął sobie żyły w obu nadgarstkach.

Wróciłem do Krakowa 17 maja 1945 roku. Po długich rozterkach postanowiłem nie odszukiwać jego matki. Teraz, po latach, kiedy zapomniane są już adresy i nazwiska, wiem, że źle zrobiłem. Powinienem był powiedzieć jej to, co mówię teraz, mądrzejszy o kilkadziesiąt lat:

– Wychowała Pani swego syna na dzielnego człowieka.

## Pieśń o Nibelungach

**M**ój ojciec i reszta jego rodziny nie przeżyli wojny. Znacznie starszy ode mnie kuzyn miał duży skład drewna i zaopatrywał w budulec kilka okolicznych wsi. Szanowano go, bo był solidny i uczciwy w interesach. Gdy wywózka do Bełżca stała się nieuchronna, kuzyn wziął swego półtorarocznego synka i pojechał do zaprzyjaźnionego gospodarza w sąsiedniej wsi.

– Przyjacielu, ratuj mego syna. Nas nic już nie uratuje. Bierz wszystkie pieniądze, wszystkie kosztowności, jakie mamy, tylko ratuj mego syna!

Gospodarz przyjął pieniądze i kosztowności i obiecał synka przechować. Wkrótce nastąpiła wywózka. Następnego dnia gospodarz zabił dziecko i zakopał je w sobie tylko znanym miejscu. Czy należy go za to potępiać? Dzieciak był obrzezany, a więc naznaczony; na wsi sąsiedzi wszystko wiedzą... Przechowywanie chłopca przez kilka lat, do końca wojny, było ryzykowne, zaś gospodarz miał własne dzieci i musiał zadbać o ich bezpieczeństwo. Czy jednak postąpił właściwie?

Większe szanse miał mój stryj. Był wysokim, przystojnym mężczyzną; przygarnęła go stara Wywiałka. U niej był bezpieczny, bo starą Wywiałkę uważano we wsi za czarownicę i wszyscy jej się bali. Nie miała sąsiadów,

jej chałupka stała na uboczu. Mieszkała sama, chyba nie miała też rodziny. Nikt jej nie odwiedzał. Czasem widywano ją chodzącą po polach z ogromnym kosturem. Rozmawiała z chmurami, komuś wygrażała pięścią albo kosturem, na kogoś pod niebo krzyczała. Ludzie wtedy żegnali się krzyżem, a niektórzy zamykali drzwi i okiennice, żeby „złe” do chałupy nie wlaźło. Bo czarownica to i pożar mogła nasłać albo chorobę, albo krowom mleko odjąć...

I tak stryj, siedząc cichutko, całą wojnę mógł przecze-kać. Tak się jednak nie stało, bo w Bełzcu zginęła jego piękna żona i jeszcze piękniejszy, ukochany 9-letni syn. I z tej rozpaczki stryjowi się w głowie pomieszało. Zaczął nocami chodzić po polach i wołać swoją żonę, a bywało jeszcze gorzej, bo – również nocą – pukał do drzwi sąsiednich chałup i pytał, czy nie ma tam jego żony... A gdy zaczął to robić za dnia, sprawa dotarła do Gawła i już nie było ratunku.

Gawel był polskim „granatowym policjantem”, który wystugiwał się niemieckim władzom i czuł się bezkarny. Była to wyjątkowa kanalia: bił ludzi, konfiskował towary na targu, domagał się okupów. Nienawidzili go wszyscy mieszkańcy. Jego przełożonym był komendant, również granatowy polski policjant, niewiele od Gawła lepszy.

Gawel z komendantem przyszli do Wywiałki i oczywiście złapali stryja. Próżno Wywiałka czołgała się, próżno błagała: „Weźcie mnie za niego, ja stara, jego zostawcie!” – zastrzelili stryja, a Wywiałkę tak pobili, że wkrótce potem zmarła.

Mój ojciec mógł przeżyć wojnę, bo miał dobre, „aryjskie” papiery. Niestety, został rozpoznany i zadenuncjowany przez znajomego, sąsiada z tej samej dzielnicy. Ten kapuś był konfidentem niemieckiej policji i miał wielu ludzi na sumieniu.

Wojna się skończyła.

Gospodarz, który zabił dziecko, nigdy nie stanął przed ludzkim sądem. Chociaż, jak już wspomniałem, na wsi sąsiedzi o wszystkim wiedzą... Gawła rozjuszeni chłopci zatłukli i utopili w Wiśle. Komendant uciekł, ale zawzięci chłopcy wytropili go aż w Poznańskim. Sąd skazał go na 10 lat więzienia. Odsiedział karę, a po wyjściu z więzienia zniknął i słuch po nim zaginął. Konfident, który zadenuncjował mego ojca, dostał wyrok 10 lat więzienia. Zmarł w więzieniu o zastrzonym rygorze.

„Und das ist das Ende meines Nibelungenliedes” [I to jest koniec mojej „pieśni o Nibelungach”]. Stara Wywiałka nie doczekała się medalu „Sprawiedliwy wśród Narodów Świata”. Ja jednak ten medal pośmiertnie Jej przyznaję. Niech Jej ziemia lekką będzie.

## Co komu pisane...

**P**raca w przydrożnej gospodzie okazała się dobrym wyborem i Halina była zadowolona, że zdecydowała się wyjechać na roboty do Niemiec. Pracowała jako służąca, czasem kelnerka i często jakieś „obrywki” jej zostawały. Nauczyła się trochę po niemiecku, gospodarze dobrze ją traktowali. Jedyne odgłosy wojny, jakie do niej docierały, były częste alarmy lotnicze, bo niedalekie miasto Kassel było ciężko bombardowane. Wtedy należało szybko uciekać do schronu.

Tamtejszy schron był nietypowy. Właściwie był to stary, nieużywany kanał odprowadzający wodę deszczową ze szczytu pobliskiego wzgórza do jego podstaw. Niemcy trochę wzmocnili ten kanał i przerobili go na „Luftschuttkeller” [schron]. Na szczycie wzgórza były ulokowane baterie artylerii przeciwlotniczej i niewielkie koszary. W czasie nalotu artyleria „grzała” do amerykańskich bombowców, nie czyniąc im większej szkody; pozostali żołnierze uciekali do górnej części schronu, a cywilna ludność z całej okolicy gromadziła się w części dolnej.

Gospoda znajdowała się dość daleko od schronu, trzeba więc było się śpieszyć, żeby zdążyć przed nalotem. Najważniejsze rzeczy: pieniądze, kosztowności, dokumenty,

były już spakowane; każdy mieszkaniec wiedział, co ma szybko złapać i z czym pędem pobiec do schronu.

Pewnego dnia odezwały się syreny alarmowe; wyły długo, co nie wróżyło nic dobrego. Gospodarze, a z nimi Halina, wybiegli z domu, ale w tym momencie Halina zorientowała się, że zapomniała – po raz pierwszy – o małym dziecku na piętrecie, a opieka nad nim należała do jej obowiązków. Wszyscy się zatrzymali, Halina pomknęła na piętro, porwała dzieciaka w ramiona i zbiegła na dół. Było jednak za późno – na wzgórzu spadały już bomby. Przażeni gospodarze schronili się w piwnicy, zlorzecząc Halinie, że jej gapiostwo naraziło wszystkich na niebezpieczeństwo.

Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że to spóźnienie uratowało im życie. Amerykanie zorientowali się bowiem, że Niemcy strzelają do nich ze szczytu wzgórza, i postanowili z tym skończyć. Zrzucili na wzgórze najpierw bombę kruszącą, a potem ciężką minę; mieli takie miny nawet czterotonowe... Wybuchając, mina wywołała potworną falę uderzeniową, która wymiotła ze schronu wszystkich – nawet martwych, z popękanyimi płucami. Wszyscy, którzy ukryli się w schronie, zginęli.

Jakimś niepojętym cudem ocalała tylko młoda Polka Zosia, która pracowała w sąsiedztwie. Halina znalazła ją nieprzytomną, ale żywą. Razem z gospodarzem przenieśli ją (na obrusie!) do gospody. Na szczęście jej obrażenia okazały się powierzchowne i wkrótce została wypisana ze szpitala. W oczach gospodarzy Halina stała się osobą świętą, która w cudowny sposób uratowała im życie.

Obie dziewczyny, Halina i Zosia, bardzo się zaprzyjaźniły, przeżyły wojnę i szczęśliwie wróciły do ojczyzny.

Nie wiadomo, co komu pisane...



## Dobra wróżba

Opisywane zdarzenie miało miejsce w Mińsku Białoruskim w pierwszej połowie 1944 roku. Pracowaliśmy – czwórka chłopaków dekarzy – dla Deutsche Ostbahn. Byłem „Vorarbeiterem” [brygadzystą], bo znałem język niemiecki. Miałem dobre „aryjskie” papiery oraz niemieckie „Bescheinigung” [zaświadczenie], dzięki czemu czułem się w miarę bezpieczny. Mieliśmy mnóstwo roboty. Co noc nadlatywały radzieckie samoloty zwiadowcze i stawiały flary, a wtedy zaczynał się spektakl reflektorów i artylerii przeciwlotniczej. Ostre odłamki pocisków rozpryskowych spadały deszczem na miasto i dziurawiły dachy kryte papą lub blachą. Myśmy (dekarze!) później te dziury łatali.

Problemem był głód. Z obiadami w kantine niemieckiej było jeszcze jako tako, gorzej z „przydziałami”. Dostawałem kawałek ciemnego chleba, kawałek margaryny i trochę „dżemu” – to powinno było wystarczyć na trzy śniadania i trzy kolacje. Dzieliłem więc przydział na sześć jednakowych porcji, ale nie mogłem się powstrzymać: zjadałem natychmiast wszystkie.

Na bazarze można było kupić chleb, ale nie za pieniądze. Trzeba było mieć coś na wymianę. „Oszczędzaliśmy” więc paczki gwoździ-papiaków, myszkowaliśmy

po poddaszach, gdzie można było czasem znaleźć coś o wartości wymiennej, a mimo to brzuchy przyrastały nam do kręgosłupów. Ja i tak byłem w lepszej sytuacji, bo nie paliłem papierosów, a w swoim „przydziale” dostawałem paczkę niemieckich papierosów „Juno”. „Aus gutem Grund ist Juno rund” [Z dobrej przyczyny jest Juno okrągłe]. Paczką papierosów można było zahandlować.

Pewnego razu wybraliśmy się we czwórkę na bazar. Szliśmy powoli, w jednej z alejek wyprzedziła nas grupka Cyganek. Nieoczekiwanie od tej grupki oddzieliła się młoda dziewczyna i zastąpiła mi drogę.

– Daj pięć karbowańców, Cyganka ci powróży.

Rozmowa toczyła się po rosyjsku.

– Nie chcę twojej wróżby.

– Ale Cyganka wszystko wie, Cyganka prawdę powie.

Znowu zastąpiła mi drogę. Pozostałe Cyganki i moi koledzy poszli już dalej, a ona wciąż mnie zatrzymywała. Rozgniewany powiedziałem:

– Jeżeli wszystko wiesz, to powiedz, jak mam na imię.

– Daj lewą rękę.

Przez chwilę wpatrywała się w moją otwartą dłoń.

– Czy mam ci powiedzieć, jak masz **naprawdę** na imię?

W tej chwili wszystko stało się jasne: ona mnie rozpoznała!

Wyjąłem banknot z portmonetki.

– Tu masz pięć karbowańców, Cyganko, ale nie wróż mi więcej!

Błyskawicznie schowała banknot i uśmiechnęła się.

– Jeżeli nie chcesz, nie będę ci wróżyła, ale dałeś pieniądze i coś ci się należy. Będiesz długo żył, dożyjesz 84 lat.

Zgarnęła ręką spódnicę i pobiegła za koleżankami. Nie było wtedy dla mnie ważniejszej wróżby. No i wywróżyła... 12 maja 2009 roku ukończyłem 84. rok życia. Trochę smutno mi się zrobiło, bo uznałem, że odtąd będę żył już na kredyt... Ale uspokoilem się: pięć karbowañców kosztowała cała wróżba, a Cyganka wywróżyła tylko „prognozę” zawartą w jednym zdaniu. Bardzo ważne, na pewno warte trzy karbowañce było to zdanie – ale przecież dwa karbowañce nadpłaciłem! Toteż mam nadzieję pożyć jeszcze trochę...

Ufam, że tej mądrej Cygance życie ułożyło się też szczęśliwie.

## Lekka śmierć

**B**ył rok 1944. Do niewielkiej wsi na Zamojszczyźnie przemaszerował pluton piechoty radzieckiej. Mieli przenocować i nazajutrz ruszyć dalej na zachód. Komendant rozlokował żołnierzy na kwaterach. Rankiem przybiegła do komendanta starsza kobieta, wdowa, jak się okazało, i poskarżyła się, że młody żołnierz, który u niej kwaterował, zgwałcił ją. Komendant uznał, że sprawa jest poważna i przywołał politruka.

– Poznacie tego żołnierza? – zapytał wdowę.

– No pewnie, że poznam.

Ustawiono pluton w szyku i przeprowadzono kobietę przed szeregiem.

– Czy to ten? – Nie. – A ten? – Nie...

W końcu trafiono na winowajcę. Zwołano sąd polowy w składzie: komandir, politruk i kapral-starszyzna. Przesłuchanie było krótkie.

– Zgwałciłeś tę staruszkę?

– Tak.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Od dawna baby nie miałem.

– Wiesz, jaka cię czeka kara?

– Wiem.

Wyrok był jednomyślny: rozstrzelanie.

Ale kobieta jeszcze raz przybiegła do komendanta.

- Czy to prawda, że chcecie go rozstrzelać?

- Takie jest, babuszka, surowe prawo wojenne.

- Rozstrzelać tego młodego chłopca? **Za co?** A cóż on takiego zrobił? Ja myślałam, że dostanie tydzień paki o chlebie i wodzie - ale rozstrzelać?! **Za co?** Ja wycofuję swoją skargę, on taki młody, całe życie przed nim!

Próżno płakała, próżno komendanta błagała o litość - żołnierza rozstrzelano. Pochowano go pod lasem, grobu nie oznaczono, bo zginął śmiercią haniebną.

Skąd więc tytuł tej opowieści?

Trzy tygodnie później ów młody żołnierz mógł np. utonąć w zimnych nurtach Wisły, ciężko ranny podczas forsowania przeprawy pod Baranowem. A tak spoczął w ziemi suchej i cieplej, a przed śmiercią zdążył jeszcze nacieszyć się kobietą. Jego ostatnia „kochanka” postawiła na jego grobie krzyż brzozy i co rok - aż do swojej śmierci - przynosiła wiązkę wiosennych kwiatów polnych.

„Budut jemu niwy chleborodnyje bezgriechownyje sny nawiewat” [Urodzajne łany będą mu wolne od grzechu sny przynosić].

## Miiiny!

**L**eżąc na dachach „pulmanów” [potoczna nazwa wagonów bezprzedziałowych], dojechaliśmy do Żyliny. Stąd kursowały już pociągi do Morawskiej Ostrawy, ale dalej transportu nie było. Nie było także żadnych dróg prowadzących do granicy i prawdopodobnie samej granicy jeszcze nie było, bo kto miał ją wytyczyć w ciągu kilku dni po zakończeniu wojny? Postanowiliśmy pieszo dojść do Rybnika. I tak wędrowaliśmy przez pola - „na azymut”. Trafiliśmy na rozległą łąkę, na przeciwległym krańcu zakończoną wałem, co obiecywało jakąś drogę...

Trawa był niewysoka, po kolana, żadnych ścieżek, postanowiliśmy więc iść na przełaj. Szliśmy gęsiego: ja na przedzie, za mną Stach i Szymek. Uszliśmy już przez kawał łąki, gdy spostrzegłem, że na obwałowaniu stoi jakaś grupa ludzi, a jeden z nich biega tam i z powrotem, wymachuje rękami i coś do nas krzyczy. Gdy podeszliśmy bliżej, zrozumiałem sytuację. Był to saper radziecki, który wrzeszczał do nas: „miiiny!”. Dziś dziękuję mu za tę informację, ponieważ łąka zaminowana była przez cofającą się armię niemiecką.

Zatrzymałem kolegów. Ocenilem, że nie ma znaczenia to, czy iść w przód czy w tył, bo odległości były podobne. Ustawiłem naszą kolumnę: ja idę pierwszy, potem pięcio-



metrowy odstęp, drugi idzie Stach, znowu pięć metrów odstępu i ostatni idzie Szymek, bo najmłodszy, a mieli stawiać nogi dokładnie na moich „tropach”.

I tak ruszyliśmy z duszą na ramieniu i dotarliśmy szczęśliwie na skraj łąki. Przez cały czas ten saper szalał na obwałowaniu i wrzeszczał: „miiiny!”. Gdyśmy przeszli do niego, usiadł na stoku obwałowania, oparł ręce na kolanach, pochylił głowę i recytował „trzypiętrowe wyrazy”, które powtarzał wiele razy, łącząc je pomysłowo z różnymi częściami ciała... Na próżno klepaliśmy go po plecach, na próżno uspokajali: „maładiec”, „niczewo”, „wsio charaszo”. Kiedyśmy go żegnali, on jeszcze przeklinał...

Pomyślałem: byłoby głupio, przeżywszy całą wojnę, wylecieć w powietrze na niemieckiej minie...

## Prawdziwy koniec wojny

**G**enerał George Patton, dowódca 3. Armii Amerykańskiej na froncie zachodnim, spisał swoje pamiętniki w książce *Wojna, jak ją poznałem*, wydanej w 1964 roku przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. W pamiętnikach tych Patton wskazuje na austriackie miasto Linz jako najdalej wysuniętą na wschód pozycję osiągniętą przez jego armię. Generał się pomylił, bo nie wiedział, że jego wojska dotarły o 10 km dalej na wschód, a mianowicie do miasteczka Tabor na Morawach. Ja zaś wiem, dlaczego odnośne raporty do niego nie dotarły. Wtedy bowiem „wyzwoliła” mnie sławna 4. dywizja pancerna, najlepsza jednostka bojowa na froncie zachodnim. Formacja ta parła dwiema kolumnami na północ, na Pragę, ale została zatrzymana z przyczyn politycznych: Praga miała być wyzwolona przez armię radziecką...

Po kapitulacji Niemiec uznałem, że najwyższa pora wracać do ojczyzny. Komunikacji żadnej nie było, wyruszyłem więc na piechotę. Z małej czeskiej wioski Čkyne, tuż przy granicy austriackiej, pomaszzerowałem na północ przez Strakonice i Pisek. Przekroczyłem Weltawę w kierunku wschodnim; na moście młodzieutki żołnierz amerykański poczęstował mnie świeżymi daktylami. To był smak zwycięstwa! Żołnierz odradzał dalszy marsz,

bo w Czechosłowacji grupa armii generała Schoenera nie składała jeszcze broni. Ja osobiście nie bałem się jakiegś „grupy armii”, bo przecież ja tę wojnę wygrałem...

Tak oto doczłapałem do miasteczka Tabor. „Powitał” mnie motocykl z przyczepą, a w nim dwóch żołnierzy w mundurach radzieckich. Byłem więc bezpieczny... Żołnierze zlustrowali okolicę przez lornetkę i motocykl zawrócił.

Na przedmieściach właśnie lokowały się oddziały armii radzieckiej, gdy z zachodu nadjechali Amerykanie. Przypuszczam, że były to jednostki 5. dywizji piechoty, ale nie jestem pewien. Było to pierwsze spotkanie obu „sojuszniczych” armii – radosny koniec wojny... W armii amerykańskiej żołnierze nie dostawali nawet kropli alkoholu, ale „od wschodu” zaraz podjechały dwie ciężarówki, a na każdej gigantyczna beczka kaukaskiego wina. Otworzono kurki i już ich nie zamknięto. Wino można było czerpać garściami, manierkami, a najlepiej hełmami; reszta rozlewała się po bruku....

Trudno opisać, co się tam działo. Powszechna radość, powszechne braterstwo... Zamieniano się fotografiami, orderami, pasami, pistoletami, hełmami; wkrótce nie można było odróżnić narodowości! Byłem tłumaczem, szarpali mnie raz w jedną, raz w drugą stronę: „ska-zi jemu”, „tell him”; częstowano mnie obficie winem – wkrótce umiałem mówić nawet po czesku...

Potem podciągnęła artyleria szybkostrzelna, w której służyli Murzyni. Tabor zappełnił się jeepami oblepionymi dziewczynami; jeepy pędziły z szaloną prędkością i wyły klaksonami. Gdy zasoby wina się wyczerpały, Czesi sięgnęli do własnych piwniczek. Później – nie wiadomo, jak i kiedy – Tabor udekorowano flagami alianckimi. Jeszcze później na ścianach domów pojawiły się wielkie afi-

sze z tekstem w języku czeskim: „Až cizovek cizoveku bude fratrem”.

Więcej nie pamiętam... Jednakże po pewnym czasie stało się dla mnie jasne, że o tym fakcie Pattonowi nikt nie zaraportował – wszyscy byli pijani.

## Szczęśliwe spotkanie

Pewien inżynier był wybitnym znawcą urządzeń hutniczych. Gdy w Częstochowie toczyły się pertraktacje w sprawie dużego eksportu takich urządzeń do Francji, zaproszono inżyniera jako eksperta. Dwóch inżynierów francuskich zwiedziło Hutę im. B. Bieruta, zapoznało się z dokumentacją; uzgodniono warunki techniczne, terminy dostaw i warunki płatności. Pomyślnie zakończenie transakcji uczczono wystawnym obiadem w najelegantszym hotelu w mieście. Obiad był suto zakrapiany dobrymi trunkami. Gdy już rozwiązały się języki, francuscy inżynierowie oświadczyli, że nie są wprawdzie zbyt gorliwymi katolikami, ale ich żony nigdy by im nie darowały, że byli w Częstochowie i nie zwiedzili Klasztoru Jasnogórskiego.

Czego się nie robi dla takich gości! W ruch poszły telefony na wysokich szczeblach i szybko sprawę załatwiono. Dwa samochody podwiozły wycieczkę pod furkę klasztoru. Oczywiście w tej grupie był także nasz inżynier. Przy furcie czekał na nich stary, siwy zakonnik, który miał oprowadzić gości po klasztorze. Zorientował się od razu, że goście są podchmieleni i nie krył swojej dezaprobaty. Obowiązki przewodnika wykonywał nie-

chętnie, oprowadzając gości pośpiesznie i byle jak. Zmierzano już do wyjścia, gdy inżynier trochę zwolnił.

- Wielebny ojcze, czy żyje jeszcze w klasztorze ojciec Cyprian?

Zakonnik spojrzał bacznie na inżyniera:

- A czego ty, synu, chcesz od ojca Cypriana?

- No bo, proszę ojca, przed wojną mój ojciec był dowódcą czwartego pułku ułanów, a ojciec Cyprian był w tym pułku kapelanem. Żyli z moim ojcem w wielkiej przyjaźni. Jeśli więc ojciec Cyprian jeszcze żyje, to proszę przekazać mu moje serdeczne pozdrowienia.

Zakonnik zatrzymał się.

- To ty jesteś ten mały Januszek, który bawił się na moich kolanach? JA JESTEM OJCIEC CYPRIAN! Pójdź w me ramiona!

I płacząc, objął go i zaczął ścisnąć na oczach zdumionych gości.

- A to są twoi przyjaciele? To muszą być porządni ludzie. Zawracamy! Zawracamy!

Zawrócił całą wycieczkę i jeszcze raz ją oprowadził, tym razem pokazując wszystkie skarby klasztoru. W Kaplicy Najświętszego Obrazu rzucił wszystkich na kolana i modlitewnie dziękował Jasnogórskiej Pani, że pozwoliła mu przed śmiercią spotkać syna swego najlepszego przyjaciela. Odprowadził gości do furty i ze łzami w oczach pożegnał inżyniera.

Inżynierowie francuscy mieli co opowiadać swoim żonom.



## Ratunku!

**W**racaliśmy z żoną na Śląsk ze Świąt Bożego Narodzenia. Pociąg relacji Kraków-Gliwice miał wagony „podmiejskie” – bez przedziałów, z drzwiami otwieranymi pneumatycznie, umieszczonymi w środku wagonu. Drzwi znajdowały się w niewielkim korytarzyku dzielącym wagon na dwie połówki. Siedzieliśmy z żoną w „tylnej” połówce: ja wciśnięty w kącik przy prawej ścianie wagonu, obok mnie żona.

Przy lewej ścianie wagonu siedziało czterech górników, jak można było sądzić po ich śląskiej gwarze. Za oknami mróz minus 15°C, ale w wagonie było ciepłutko, gwarno, bo wszyscy wracali po świętach, niektórzy z rodzinami z dziećmi. Było głośno.

Nagle dotarło do mnie coś, co mnie zaniepokoiło – coś zupełnie nieuchwytnego. Spojrzałem na innych pasażerów: ani śladu zaniepokojenia... Chyba mi się zdawało. Ale po chwili znowu odebrałem sygnał niepokojący, tym razem silniejszy. Zdawało mi się, że jakieś dziecko zapłakało. Powiedziałem to żonie. Żona nadstawiła ucha, ale nic nie usłyszała. Stałem się czujny. Trzeci sygnał był tak intensywny, że postawił mnie na nogi. Przecisnąłem się obok żony, otworzyłem drzwi i wszedłem do korytarzyka. Przez szybę w lewych drzwiach zobaczyłem sinopur-

purową twarz mężczyzny, który ostatkiem sił krzyczał: „Ratunku!”. Stał jeszcze na stopniach, bo rozkrzyżowanymi rękami trzymał się drewnianych framug drzwi.

Wszystko stało się jasne. Musiał się spóźnić na dworcu w Krakowie, wskoczył na stopnie w ostatniej chwili i drzwi zamknęły mu się przed nosem. Dobrze zrobił krzyżąc: „ratunku!”, bo nie dojechałby do następnej stacji, a odpadnięcie od wagonu oznaczałoby niechybną śmierć.

Zadziałałem natychmiast: zaalarmowałem górników, ci błyskawicznie rzucili się na pomoc: jeden uruchomił awaryjne otwieranie drzwi, pozostali chwycili nieszczęsnego pasażera pod pachy i wciągnęli do wagonu. Był tak zmarznięty, że aż sztywny – takiego oparliśmy o ścianę. Górnicy zamknęli pneumatyczne drzwi i wrócili na swoje miejsca.

Tylko ja z nim zostałem.

Był to rostry mężczyzna około pięćdziesiątki. W prawej ręce trzymał kurczowo jakąś teczkę. Był tak zmarznięty, że nie mógł wykrztusić słowa. Gdy zaoferowałem mu swoje miejsce w ciepłym wagonie, tylko pokręcił głową. Zostawiłem go, a gdy po kilku minutach wróciłem, jego już nie było. Musiał pójść dalej, w kierunku lokomotywy. Nie podziękował.

Może się wstydził, że zawołał: „ratunku!”?

Ja zaś pomyślałem: „uratowałem człowieka”.

## Splątane ścieżki

**P**rofesor Czesław Zgorzelski w swojej pięknej autobiograficznej książce *Przywołane z pamięci* wspomina sytuację z połowy 1944 roku, gdy jako żołnierz AK obserwował nalot samolotów radzieckich na Wilno: „Około północy daleko na horyzoncie, w stronie Wilna, zapłonęła luna, zawisły światła na spadochronach i przez pół godziny lub dłużej słyszeliśmy pogłos bomb spadających na miasto” (s. 236). Wtedy po raz pierwszy splątały się ścieżki Profesora i moje, choć o sobie nawzajem nic nie wiedzieliśmy. Bo ja owej nocy byłem w Wilnie. „Byłem” – to trochę za dużo powiedziane...

Leżałem na desce na szczycie otwartego wagonu towarowego wypełnionego po brzegi różnymi maszynami do obróbki drewna. Mój pociąg stał na dworcu towarowym. W nocy pojawił się nad dworcem radziecki samolot zwiadowczy i postawił flary, od których zrobiło się jasno. Natychmiast rozbłyły reflektory i odezwała się niemiecka artyleria przeciwlotnicza. Przez ostatnie miesiące przeżywałem takie naloty prawie codziennie, a raczej co noc, byłem więc zahartowany; wiedziałem jednak, że w takich sytuacjach lepiej jest mieć coś nad głową...

Zeskoczyłem z wagonu i wczółgałem się pod kryty wagon towarowy pociągu stojącego na sąsiednim torze.

Wcześniej upewniłem się, że wagon jest załadowany, co poznaje się po ugiętych resorach. Podczołgałem się pod osie kół wagonu, gdzie poczułem się bezpiecznie. Od czasu do czasu wystawiałem głowę z mojego „schronu”, aby się zorientować w sytuacji. Zobaczyłem wtedy żołnierza niemieckiego, który stał na kładce dla pieszych nad torami i ze zwykłego karabinu strzelał do rozjarzonych flar. Musiał być bardzo dobrym strzelcem, bo udawało mu się niektóre zgasić. O świcie okazało się, że wagon, pod którym się schroniłem, był załadowany niemiecką amunicją!

Wówczas, jako 19-letni chłopak, nie wiedziałem, jak potoczy się moje życie. Nie wiedziałem, że po kilkudziesięciu latach ścieżki życia Profesora i moje splątają się. A tak się stało. Pod koniec lat 80. XX wieku profesor Zgorzelski, wybitny humanista, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zaprosił mnie, docenta Politechniki Lubelskiej, do swojego mieszkania w celu omówienia pewnego ważnego dokumentu, którego byłem autorem. Nie zapomnę tego popołudnia, spędzonego przy lampce wyśmienitego tokaju. Byłem oszołomiony mnogością rarytasów bibliofilskich na regałach Profesora, a przede wszystkim zaskoczony głębią i dociekliwością tematów poruszonych przez Gospodarza.

Zaczęło się od bardzo trudnej definicji pojęcia „nauka”, które udało nam się ustalić dla nauk przyrodniczych. Łatwiej przyszło mi bronić kryterium: „prawda naukowa”, bo – pośrednio przez Poppera – przyjąłem stanowisko prof. Tarskiego, ale uznałem, że oprócz prawdy naukowej istnieją: prawdy empiryczne, prawdy filozoficzne i prawdy religijne, które operują innymi kryteriami.

Żywą dyskusję wywołał mój pogląd, że treść wypowiedzi naukowych jest etycznie neutralna, to znaczy, że nie można ich wartościować w kategoriach dobra i zła.

Profesor jednak usiłował przekonać mnie, że nauki humanistyczne nie mogą zrezygnować z wartościowania i należy je traktować odrębnie.

Było jeszcze wiele innych tematów tej inspirującej rozmowy. Przywołuję ją z pamięci jako hołd dla Profesora Czesława Zgorzelskiego, człowieka, dla którego mądrość stawała się tożsama z dobrocią.

## O szczęściu

Pan F. był naczelnikiem stacyjki kolejowej w małym galicyjskim miasteczku na trasie Kraków-Tarnów. Były to czasy „miłościwie panującego” cesarza Franciszka Józefa. Pan naczelnik był zacnym człowiekiem, paradował w mundurze austriackiego kolejarza i cieszył się powszechnym szacunkiem.

Pewnego razu zgłosiła się do niego delegacja tamtejszej gminy żydowskiej – trzech sędziwych starców.

- Panie naczelniku, my do pana z wielką prośbą. Za kilka dni przyjeżdża do nas cadyk z Bobowej. Pan naczelnik wie, że taki cadyk to dla nas osoba święta. I my byśmy chcieli powitać go na peronie bez nerwów, bez pośpiechu. Czy pan naczelnik mógłby zatrzymać pociąg troszeczkę dłużej?

Naczelnik nie widział problemu, obiecał zatrzymać pociąg tak długo, jak będzie trzeba. I słowa dotrzymał. Żydzi mogli powitać cadyka z należną ceremonią.

Po kilku dniach znowu zjawiała się na stacji ta sama delegacja.

- Panie naczelniku, jutro nasz cadyk odjeżdża i my byśmy chcieli...

Naczelnik znowu grzecznie zatrzymał pociąg trochę dłużej. Żydzi pożegnali cadyka, jego świta wsiadła do



pociągu, sam cadyk też już wsiadał, kiedy nagle zatrzymał się, odwrócił i oświadczył, że chce poznać naczelnika stacji. Poproszono pana F. i przedstawiono cadykowi. Cadyk pogrzebał w kieszonce kamizelki i wyjął monetę – austriacką jednokoronówkę.

– Panie naczelniku, to, co pan dla mnie zrobił, było gestem przyjaźni, a za przyjaźń się nie płaci. Daję panu tę monetę na pamiątkę naszego spotkania i daję ją panu z moim błogosławieństwem, oby ta moneta przyniosła panu szczęście.

Cadyk odmówił szeptem jakąś modlitwę czy błogosławieństwo i wręczył monetę naczelnikowi. Ten ją przyjął i podziękował. Cadyk wsiadł do pociągu i odjechał.

I w tym miejscu opowieść mogłaby się zakończyć, ale właściwie tu się dopiero zaczęła. Bo po kilku dniach znowu zjawiała się na stacji delegacja gminy żydowskiej.

– Panie naczelniku, pan dostał od cadyka monetę, koronę, my ją chętnie odkupimy i damy panu 5 koron.

Naczelnik roześmiał się, ale monety nie sprzedał. Po kilku dniach znowu to samo:

– Panie naczelniku, zrobi pan dobry interes, za jedną koronę damy panu 20 koron.

Naczelnik monety nie sprzedał.

W odstępach kilkudniowych odbyła się prawdziwa procesja podobnych wizyt i podobnych ofert, tylko cena monety stale rosła. Najpierw w dziesiątkach, potem w setkach, wreszcie w tysiącach. Być może takie to „szczęście” przewidywał mądry cadyk, ale nie docenił poczucia godności naczelnika. Gdy za monetę zaoferowano bajońską sumę 20 tysięcy koron, co w owych czasach było prawdziwą fortuną, naczelnik postanowił to przerwać i powiedział:

– Panowie, wasz cadyk nie jest dla mnie osobą świętą, ale wierzę, że moneta z jego błogosławieństwem przy-

niesie mi szczęście. I teraz powiedzcie mi, mądrzy Żydzi, kto z was sprzeda swoje szczęście za pieniądze?

Żydzi wstali, pokłonili się w pas i więcej go już nie nagabywali.

Ale czy moneta przyniosła naczelnikowi szczęście? Naczelnik powoli wspinał się po stopniach austriackiej drabiny służbowej. Każdy jego awans, każde odznaczenie było prawdziwym świętem dla miasteczka; najpiękniejsze przemówienia wygłaszali Żydzi.

Naczelnik z zaoszczędzonych pieniędzy wybudował murowany dom, w którym zamieszkał wraz z rodziną. Doczekał się emerytury i sędziwego wieku w dobrym zdrowiu. Zmarł w swoim domu otoczony rodziną. Jego pogrzeb miał bardzo uroczystą oprawę. A monetę, z którą nie chciał rozstać się za życia, włożono mu do trumny.

Czy to jest szczęście?



## Moje sny przedziwne

### Sen I Wizyta

Po wojnie prowadziłem – na jawie, nie we śnie – kompleksowe badania betonów lekkich o wysokiej wytrzymałości. Część tych badań była prowadzona w Zakładzie Prefabrykacji w Strzybnicy koło Bytomia.

Miałem w tym czasie sen:

Jestem na terenie tego zakładu, blisko bramy wjazdowej, po jej lewej stronie. Przedemną – perspektywa drogi wjazdowej na teren zakładu, prostej „jak strzelił...”. Jest zimno, mokro, siąpi deszcz, droga tonie w błocie. Po obu stronach drogi stoją szpalery robotników. Zziębnięci, przemoczeni, o ponurych twarzach, w szarych ubraniach roboczych, w zabłoconych gumiakach. Wszyscy na coś czekają, ale nikt nie wie, na co...

Wreszcie widzę, że drogą zbliża się spora grupa ludzi. Przemieszczają się szybko. Zła widoczność nie pozwala mi ich rozpoznać, ale wkrótce dostrzegam, że na czele grupy idzie postać ubrana na biało – i w białych butach!

„Ależ to nieodpowiedni strój na taką pogodę” – pomyślałem, ale zdumiony dostrzegłem, że strój i buty po-

zostają nieskalane, choć wszyscy toną w błocie... Ktoś trzymał też nad białą postacią olbrzymi parasol.

Nagle zrozumiałem wszystko: przecież to jest papież Jan XXIII! Widząc nieprzychylne, zmęczone twarze robotników, pomyślałem oburzony: „Co za hołota! Nie poznajecie papieża? Na kolana!”

Sam przyklęknąłem w błocie, na jedno kolano... Papież zatrzymał się przy mnie, jego sekretarz bez przerwy szeptał mu coś do ucha; nie słyszałem słów, nie mogłem nawet rozróżnić języka, ale podświadomie czułem, że jest dobrze poinformowany: zna moje nazwisko, przedstawia mnie papieżowi i wyjaśnia, co ja w tym zakładzie robię. Jan XXIII powiedział coś szybko, znowu nie zrozumiałem ani jednego słowa, ale wiedziałem, że papież pobłogosławił mnie i moją pracę. Rzeczywiście pobłogosławił mnie i wyszedł za bramę wraz ze swoją świtą.

Po tym śnie nabrałem przekonania, że On czuwa nade mną; Jego portret stoi na moim biurku.

### Sen II Obcy

Był piękny letni dzień. Spacerowałem po ulicy w Szczyrku, w Beskidach, kiedy nagle usłyszałem dziwny hałas i ostrzegawcze krzyki. Zaniepokojony otworzyłem furtkę do najbliższego ogródka i skryłem się za żywoptem. Z ukrycia patrzyłem na niewielki placyk targowy: kilka furmanek, straganów, kobiet sprzedających coś z koszyków...

Nagle od strony Przełęczy Salmopolskiej z szaloną prędkością wyjeżdża do miasta samochód terenowy i wpada na targowisko, roztrącając stragany. Uderza w drzewo.

„Jakiś szaleniak, zimny trup” – pomyślałem, ale ku mojemu zaskoczeniu ów szalony kierowca przeżył; mało tego – z nadludzką siłą zaczął odginać, prostować blachy i o własnych siłach wygramolił się ze zmiażdżonego samochodu! Ruszył mu na pomoc niewielki oddział młodych żołnierzy, nieuzbrojonych... Ów mężczyzna uznał to widać za atak, bo zaczął z nimi walczyć i wszystkich pokonał.

Stało się dla mnie jasne, że ten Obcy nie jest mieszkańcem naszej planety, że jest przybyszem z Kosmosu, wyposażonym w jakieś straszliwe moce, i że w starciu z nim nie mamy żadnych szans. Wyszedłem z ogródka i stanąłem „twarzą w twarz”.

Był to niemłody mężczyzna ubrany w strój bawarski: czarne skórzane spodnie, zawieszane na szerokich szelkach, białe skarpety pod kolana, na głowie zielony kapełusik z piórkiem... Nie miał na ciele żadnych obrażeń po tej strasznej katastrofie. W geście pojednania podniosłem w górę prawą rękę z otwartą dłońią.

– Witaj, nieznajomy! Skąd przybywasz?

Zrozumiał, co do niego mówię, ale na odpowiedź musiałem dość długo czekać. Coś w nim chrobotało, bulgotało, wreszcie niewyraźnie wybełkotał:

– Be-tel-geu-za... [gwiazdozbiór, z którego przybył].

Ja zaś, zadowolony, że udało mi się z nim nawiązać przyjazny kontakt, kontynuowałem:

– Nie mam wobec ciebie złych zamiarów!

Niestety, nadbiegła tyraliera żołnierzy i policjantów. Krzychałem: „Nie strzelać!”. Ale było już za późno – terkotały pierwsze serie z broni maszynowej.

Sen III

**Szatan**

Szedłem ulicą Filipa w Krakowie, lewym chodnikiem, od ul. Długiej w kierunku dworca kolejowego. Ulicę tę znałem doskonale, bo tędy chodziłem do szkoły. Znałem jej perspektywę, zamkniętą kościołem św. Floriana. Na ulicy panował umiarkowany ruch samochodowy i pieszy. Z daleka spostrzegłem, że z kościółka Ojców Misjonarzy wychodzi ksiądz w czarnej sutannie i powoli rusza w moją stronę. Zwróciłem na niego uwagę, bo był to postawny mężczyzna o pięknej głowie. Wydawało mi się, że on też zwrócił na mnie uwagę... Spostrzegłem, że wzrostem góruje nad przechodniami, stale rośnie i już przekracza ludzką miarę. Zdumiony stwierdziłem brak jakiegokolwiek reakcji ze strony przechodniów, którzy go najwyraźniej nie widzieli... Gdy zatrzymał się kilka kroków przede mną, głową sięgał już dachów...

Olśniło mnie: „To jest Szatan!”. Wyciągnąłem przed siebie ręce, jakby broniąc mu przystępu, i krzyknąłem gniewnie: „Apage! Odstąp, szatanie!” – i przeżegnałem go znakiem krzyża. Ani nie drgnął. Stał przede mną olbrzymi, potężny, piękny, z dobrotliwym uśmiechem na twarzy. I powiedział:

– Nie lękaj się! I tak będziesz mój!

Zbudziłem się zlany potem.



## Sen IV

### Misja

Trwał stan wojenny. Pewnego dnia zgłosił się do mnie młody ksiądz z informacją, że jestem wezwany na bardzo ważną i poufną naradę. Zaprowadził mnie do wielkiej, pięknej sali. Znalazłem się w jej środku, otoczony łukiem hierarchów Kościoła zasiadających w ozdobnych fotelach. Byli to przedstawiciele Kościoła rzymskokatolickiego i Kościołów wschodnich: kardynałowie, biskupi, patriarchowie, archimandryci – wszyscy ubrani we wspaniałe szaty liturgiczne. Patrzyli na mnie poważnie, milcząco, przenikliwie. Czułem, że ich spojrzenia przenikają mnie, że jestem poddawany jakimś sprawdzianom, że przed ich mądrością nic się nie ukryje. Widocznie ten tajemniczy egzamin przebiegał pomyślnie, bo od czasu do czasu owi dostojnicy wymieniali między sobą potakujące ruchy głową. Kiedy ta dziwna procedura dobiegła końca, młody ksiądz wyprowadził mnie z sali.

– Musi pan wywiązać się z niezwykle ważnej misji. Trzeba papieżowi Janowi Pawłowi II przekazać informacje najwyższej wagi. Pojedzie pan do Rzymu i uda się na plac Świętego Piotra. Przy jednaj z bram będzie ktoś na pana czekał. Musi pan podać hasło.

– Ależ ja nie mam żadnych dokumentów, nie przekazano mi żadnych informacji, nie znam hasła! – broniłem się przerażony.

– Ma pan wszystkie informacje i zna hasło, ale pan o tym nie wie. Tu są bilety.

W pociągu zrozumiałem, że wszystko zostało w niepojęty sposób wpisane w moją podświadomość. Gdybym nawet wpadł w ręce obcych służb, nie mógłbym niczego

zdradzić, bo o niczym nie wiedziałem. Uznałem to za genialne rozwiązanie i pojechałem do Rzymu.

Kiedy znalazłem się na placu Świętego Piotra i stanąłem przed Bazyliką, nie musiałem długo czekać. W prawym narożniku, przy bramie, czekał na mnie ksiądz. Zapytał o hasło i widocznie otrzymał prawidłową odpowiedź, bo wszedłem do wnętrza budowli. Prowadzono mnie długimi korytarzami i schodami, kilkakrotnie stałem przed drzwiami strzeżonymi przez księży i gwardzistów szwajcarskich, przy każdych drzwiach żądano ode mnie hasła i uzyskiwano odzew – całkowicie poza moją świadomością. Wreszcie stanąłem u celu wędrówki: w osobistym gabinecie papieża.

Jan Paweł II siedział za wielkim biurkiem i patrzył na mnie ze swoim dobrotliwym uśmiechem na twarzy. Bez jednego słowa, w niepojęty sposób, wydobyl ze mnie wszystkie informacje. Czułem, że są to sprawy decydujące o losach Europy.

Moja misja była zakończona.

## Sen V

### Bankiet

**W** tym śnie byłem młodym człowiekiem i miałem asystować Janowi Pawłowi II, z jego lewej strony, a z prawej jakiś Anglik czy Włoch – podobnie do zwyczaju, że Papieżowi towarzyszą dwaj młodzieńcy podczas corocznej Drogi Krzyżowej w Koloseum.

Wcześniej Papież postanowił wydać uroczysty bankiet w salach eleganckiej restauracji w Rzymie – zaproszeni mieli być najwyżsi hierarchowie Kościoła, korpus dyplomatyczny i inne prominentne postaci życia publicznego.

Papież chciał sprawdzić stan przygotowań i wybrał się incognito do tej restauracji, ubrany w szarą pelerynę z kapturem. Towarzyszyłem Mu i stwierdziłem z oburzeniem, że nie stawiał się ten drugi młodzieniec! „Cóż za lekceważenie!” – pomyślałem.

W restauracji było gwarno i wesoło. Papieża nikt nie rozpoznał, oprócz szefa, który zgiął się w ukłonie powitalnym i zaprowadził nas do podziemia. Znaleźliśmy się we wspianej sali, wąskiej, ale bardzo długiej. Drugiego końca stołu prawie nie było widać, z obu stron ozdobne krzesła, u szczytu wspinały fotel, a raczej tron – dla Niego. Ze sklepienia zwisały kandelabry, w ścianach znajdowały się wnęki, w nich stiukowe rzeźby, obok ornamenty – wszystko w czerwieni, złocie i bieli. Papież porozmawiał z szefem – chodziło głównie o menu – i najwyraźniej zadowolony wyszedł wraz ze mną z restauracji.

Nadszedł dzień bankietu. Papież w uroczystym białym stroju, ja na czarno – **a tego trzeciego znowu nie ma!** Restauracja tym razem pusta; domyśliłem się, że została zarezerwowana. Schodzimy w dół, do owej wspianej sali bankietowej – stół jest cudownie zastawiony i udekorowany, służba w szamerowanych liberach rozstawiona wzdłuż ścian – **ale gości nie ma!**

Jestem przerażony, przecież wszyscy powinni byli tu już czekać, cóż za afront! To niemożliwe! Na pewno jakaś fatalna pomyłka w dacie albo miejscu spotkania! Papież nie zwraca na to uwagi, zasiada w swoim fotelu, gestem ręki każe mi usiąść na krześle po swojej lewej stronie i poleca podawać potrawy. Na stół „wjeżdżają” wyszukane dania, Papież w doskonałym nastroju sam je – i jeszcze mnie nakłada! Nazywa każdą potrawę i pokazuje, jak się powinno ją jeść...

Struchlały, przerażony, nie mogę nic przelknąć, usiłuję tłumaczyć nieobecność gości jakąś pomyłką, ale Papież

mnie uspokaja, bawi się świetnie i zachęca mnie do konsumpcji. W pewnej chwili nachyla się do mnie i mówi:

– Widzisz synu – nie na każdym można polegać... **Ale dobrze, że Ty jesteś ze mną!**

Sen VI

**Strach**

**W** roku 1987 podczas pielgrzymki Jana Pawła II do Polski moja żona ofiarowała Mu drewniany czarny krzyżyk, cenną relikwię św. Kazimierza. Być może dlatego nie zdziwiłem się zbyt, kiedy w moim śnie w Lublinie pojawił się ksiądz, który poprosił, żebym pojechał z nim do Krakowa.

– Papież pragnie pana poznać.

Byłem niemal pewny, że Jan Paweł II chce zapytać o szczegóły związane z tym czarnym krzyżykiem. W Krakowie ksiądz zaprowadził mnie do pałacu, którego nie znałem. Nie mogłem także zorientować się, na jakiej to było ulicy.

Papież, odziany, jak zwykle, w biały uroczysty strój, stał na szczycie schodów prowadzących do pałacu. Przez otwarte drzwi widać było wewnątrz: gustowny przedsiónek ze schodami prowadzącymi na wyższe piętra. Papieża otaczali ludzie z ochrony, niedopuszczający zbyt blisko napierającego tłumu. Wszyscy chcieli podejść do Niego, przywitać się, dotknąć Jego szat.

Ksiądz i ja przecisnęliśmy się przez ciżbę. Zostałem przedstawiony.

– Zdaje się, że pan jest z Krakowa? – zapytał Papież. Przytaknąłem. – To dlaczego ja pana nie znam? Zdawało mi się, że znam wszystkich ludzi w Krakowie... – powiedział, po czym dał znak i ludzie z ochrony wbiegli do pa-



łacu, spokojnie usunęli otaczający nas tłum. Zostaliśmy sami. Papież ujął mnie pod rękę i zaprosił na długi spacer ulicami wieczornego Krakowa. W czasie rozmowy ani razu nie wspomniał o czarnym krzyżyku.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy Floriańskiej i powoli szli w kierunku Kościoła Mariackiego, było już całkiem ciemno. Nagle uświadomiłem sobie, że ulice są zupełnie puste, że nie ma nikogo z ochrony, a białe szaty Papieża stanowią znakomity cel w tych ciemnościach! Ze zgrozą zdałem sobie sprawę, że odpowiedzialność za Jego bezpieczeństwo spada całkowicie na mnie. Niepostrzeżenie zwolniłem kroku, żeby znaleźć się metr za Nim, ponieważ sytuację z przodu łatwiej mogłem obserwować.

W takim „bezpiecznym szyku” spacerowaliśmy opustoszałymi ulicami Krakowa. Papież jakby tego nie dostrzegał, kontynuował swoje wywody, gestami podkreślając ważniejsze kwestie, aż dotarliśmy do miejsca, gdzie rozpoczęliśmy nasz spacer. Z pałacu wybiegli ochroniarze, a On uśmiechnął się do mnie, z młodzieńczą werwą wbiegł po schodach i zniknął we wnętrzu pałacu. Odczułem ogromną ulgę, ale po chwili uświadomiłem sobie z żalem, że niewiele zapamiętałem z tego, co mówił. Chyba za bardzo bałem się o Niego...

## Królowa Makeda i Arka Przymierza

*[...] królowa Saby usłyszawszy o rozgłosie Salomona, przybyła, aby się osobiście przekonać o jego mądrości. [...] Przyjechała więc do Jerozolimy ze świetnym orszakiem i wielbłądami, dźwigającymi wonności i bardzo dużo złota oraz drogocennymi kamieniami. Następnie przyszła do Salomona i odbyła z nim rozmowę o wszystkim, co ją nurtowało. Salomon zaś udzielił jej wyjaśnień we wszystkich zagadnieniach przez nią poruszanych. [...] Królowa Saby [...] wpadła w zachwyty [...] i przemówiła do króla: „Prawdziwa była wieść, którą usłyszałam w moim kraju o twoich dziełach i twojej mądrości. [...] Niech będzie błogostawiony Bóg twój, Jahwe, za to, że upodobał sobie ciebie, aby cię osadzić na tronie Izraela”. Następnie dała królowi sto dwadzieścia talentów złota i bardzo dużo wonności oraz drogocennych kamieni. [...] Niebawem wyruszyła w drogę powrotną do swego kraju wraz ze świtą.*

(1 Krl 10, 1-13)

**W** tym miejscu urywa się relacja biblijna. Saba (w oryginalnie hebrajskim Szeba) nie była imieniem owej królowej, ale nazwą krainy, którą władała. Biblia nie podaje imienia tej królowej ani nie lokalizuje jej królestwa. Historycy jednakże znają królestwo Saby; od XII wieku p.n.e. leżało ono w południowo-zachodniej części Półwyspu Arabskiego, na obecnym terytorium Jemenu.

Wróćmy jednak do tekstu biblijnego.

Trzy fakty powinny zwrócić naszą uwagę. Wizytę tej królowej w Jerozolimie można w przybliżeniu datować na rok 950 p.n.e. Dlaczego więc po dwustu latach istnienia królestwa rządzi nim kobieta? Nie żona króla – ale prawdziwa władczyni! Przykładów takich w owej epoce jest jak na lekarstwo. Może mądra królowa uświadomiła sobie, że kończy się tradycja matriarchalna i pora przekazać władzę dynastii dziedziczonej w linii męskiej? Zdumienie budzi też hojność królowej. Królewski złoty talent ważył prawie 50 kg, czyli 120 talentów, które otrzymał Salomon, to 6000 kg złota... Skąd takie bogactwo?!

Już rzymscy geografowie dzielili Półwysep Arabski (idąc od północy) na Arabię Skalistą, Piaszczystą i Szczęśliwą – słynną Arabia Felix. Szczęśliwą, bo tylko na południu były żyzne ziemie, które – umiejętnie nawadniane przez Sabejczyków – dawały obfite plony, bujne pastwiska, na których mnożyły się stada zwierząt hodowlanych. To stanowiło dobrą podstawę egzystencji, ale istniało też inne źródło ich ogromnych bogactw.

Porty sabejskie były kluczowym węzłem na „szlaku kadzidł”, którym płynęły statki wzdłuż wybrzeży Oceanu Indyjskiego, wiozące z Azji i Afryki do Europy: kadzidło, perły, przyprawy wonne, olejki, drogie kamienie, drzewo sandałowe, kość słoniową.

Żaglowce niechętnie wpływały na Morze Czerwone, bo cieśnina Bab-el-Mandeb była bardzo niebezpieczna, pełna skalistych wysepek, raf koralowych, mielizn oraz zmiennych prądów. Zresztą na Morzu Czerwonym nie było (i nadal nie ma) łatwo dostępnych portów. Statki handlowe cumowały więc w portach sabejskich, w których drogocenne towary były przedmiotem handlu. Przelądowywano je na wielbłądy i wysyłano na północ prastarym szlakiem karawan – przez Mekkę, Medynę,

Jerozolimę, aż do portów śródziemnomorskich lub, przez Damaszek, do Mezopotamii.

Na tym handlu królestwo Saby ogromnie się bogaciło, ale nie tylko, ponieważ to wyjątkowo korzystne położenie geograficzne przyspieszało także jego rozwój cywilizacyjny. Sabejczycy udoskonalili język, opracowali własne pismo, ulepszyli administrację. Saba górowała cywilizacyjnie nad otaczającymi ją koczowniczymi plemionami pasterskimi.

Trzecim wreszcie znamienym fragmentem tekstu biblijnego jest informacja o złożeniu przez królową hołdu tradycji jahwistycznej: królowa wręcz proroczo uznała wyższość monoteizmu nad powszechnie wówczas panującym wielobóstwem.

I teraz ta królowa wybiera się na daleką wędrówkę – do miejsca odległego o ponad 2000 kilometrów, z ogromną karawaną wielbłądów objuconych złotem i innymi kosztownościami, z armią uzbrojonych żołnierzy, którzy musieli zapewnić bezpieczeństwo wyprawy, żeby obsypać skarbami Salomona? I to wszystko po to, aby sobie z nim porozmawiać?! Oczywiście nie. Plany królowej były inne, dalekosiężne. Trzeba zdystansować się od tekstu biblijnego i odwołać do kronik etiopskich.

Królowa miała na imię Makeda. W Jerozolimie weszła do łoża króla Salomona i wyjechała ze świętego miasta z jego dzieckiem w łonie. Po powrocie do Saby Makeda urodziła syna, któremu nadała imię Menelik. Gdy miał 18 lat, matka wysłała go do Jerozolimy, aby przedstawił się ojcu i z jego pomocą przeszczepił z Jerozolimy do Saby tradycję jahwistyczną.

Ze skopiowaniem Ksiąg Mojżeszowych nie było problemów, zapewne później zostały one przetłumaczone na język sabejski. Natomiast skopiowanie Arki Przymierza



postrzegane przez Izraelitów jako bluźnierstwo, ale nie takich grzechów dopuszczał się Salomon w ostatnim okresie swego życia...

Menelik wrócił do Saby ze złotą repliką Arki Przymierza, w niej prawdopodobnie znajdowała się replika kamiennych tablic Dekalogu. Gdy po powrocie Menelika cały dwór i wyższe warstwy społeczne przyjęły religię możeszową, królowa Makeda przeżywała chwile triumfu: odtąd nikt oprócz jej potomstwa nie miał legitymacji do sprawowania władzy w królestwie.

Wielka królowa zapoczątkowała dynastię cesarską, która władała Sabą przez 800 lat, aż do roku 115 p.n.e., kiedy została obalona przez możny ród sabejski Himjarytów. Dynastia jednak przetrwała. Dwór i arystokracja sabejska wraz ze skarbem cesarskim i repliką Arki przenieśli się do północnej Etiopii, gdzie założyli potężne królestwo ze stolicą w Aksum.

W IV wieku n.e. dotarło tu chrześcijaństwo w wersji koptyjskiej. W IX wieku królestwo Aksum upadło, przypuszczalnie wskutek ekspansji islamu. Dynastia stworzona przez Makedę przetrwała upadek tego królestwa i panowała w nim przez kolejne 900 lat. W środkowej Etiopii od roku 1270 panowali cesarze, którzy sami się przyznawali do „dynastii salomońskiej” i w swej tytulaturze mieli dumne: „lew Judy”.

Cesarze tej dynastii wywodzili swą genealogię w sposób ciągły od Menelika I, syna Makedy. Dynastia ta wygasła w roku 1975 wraz ze śmiercią Hajle Sellasje, ostatniego cesarza Etiopii.

Królowa Makeda okazała się zatem mądrzejsza od króla Salomona. Ten bowiem przekazał koronę swemu pierworodnemu synowi Roboamowi, który okazał się aroganckim pyszałkiem i doprowadził do rozpadu królestwa na północne i południowe, co było początkiem

kłęski Izraela. Dla porównania: dzieło wielkiej królowej Makedy przetrwało 3000 lat.

I jeszcze trwa. W podupadłym miasteczku Aksum archeologowie odkrywają ruiny pałacu królewskiego oraz inskrypcje w języku sabejskim. W tym miasteczku znajduje się też bardzo stary klasztor koptyjski. Mnisi tego klasztoru twierdzą, że w podziemnej krypcie przechowują Arkę Przymierza, strzeżoną przez specjalnego mnicha strażnika. Nikt nie może zobaczyć Arki, bo żaden żywy człowiek nie może stanąć przed obliczem Boga.

Mnisi nie kłamią. Przechowują oni Menelikową replikę Arki Przymierza. Może kiedyś na wzgórzu świątynnym w Jerozolimie odbudowana zostanie Trzecia Świątynia i Arka Przymierza znajdzie należne jej miejsce?

Będzie to wieczną zasługą mądrej królowej Makedy.



## Spis treści

Od wydawcy .....	5
Kilka kromek chleba .....	7
Pieśń o Nibelungach .....	15
Co komu pisane... ..	18
Dobra wróżba .....	20
Lekka śmierć .....	23
Miiiny! .....	25
Prawdziwy koniec wojny .....	27
Szczęśliwe spotkanie .....	30
Ratunku! .....	32
Splątane ścieżki .....	34
O szczęściu .....	37
Moje sny przedziwne .....	40
Sen I. Wizyta .....	40
Sen II. Obcy .....	41
Sen III. Szatan .....	43
Sen IV. Misja .....	44
Sen V. Bankiet .....	45
Sen VI. Strach .....	47
Królowa Makeda i Arka Przymierza .....	49







**Jakub Mames** ur.  
1925 roku w Kra  
skiej rodzinie inte  
przeżył dzięki zd  
falszywej kennka  
**Karol Piwowarcz**  
pacji pod tym naz

się i pracował najpierw w Tarno-  
brzegu, a następnie - wcielony do

Kolumny Roboczej Niemieckich Kolei na Wschodzie  
(Deutsche Ostbahn) - jako dekarz w Kazatyniu na  
Ukrainie, w Mińsku na Białorusi, Bydgoszczy oraz  
w Wittichenau w Saksonii. Swoje wojenne burzliwe  
losy, a także późniejsze wyjątkowe zdarzenia i prze-  
dziwne sny J. Mames opisuje w kilkunastu opowieś-  
ciach zawartych w tym zbiorze.

Niezbyt obszerny, ale „naładowany” treścią tomik  
świadczy o wielkiej wrażliwości człowieka, który  
przeżył Holokaust, starając się zawsze godzić swój  
tragiczny los z nie mniej tragicznym losem innych  
ludzi - bez precyzowania: wróg czy przyjaciel.

OŚRODEK  
BRAMA  
GRODZKA



TEATR NN

VL-85

NORBERTINUM



ISBN 978-83-7222-459-0



9 788372 224590